

# WIELKI KAUKAZ PO RAZ



Szczyt Kazbeku. W. Wysocki śpiewał: *...są piękniejsze od gór tylko góry - te, na które nie wspiął się nikt (z nas).*

W ubiegłym roku artykuł „*Upalne lato w śniegu i lodzie...*” dla Echa Limanowskiego<sup>1</sup> zakończyłem postanowieniem, że w Kaukaz Wschodni i na degustację gruzińskich win wyprawię się „innym razem”. Oczywiście, zdobycie Elbrusa było dużą zachętą do dalszej eksploracji Kaukazu, ale wiadomo, w życiu różnie bywa. Nie przypuszczałem, że nastąpi to tak szybko.

## Gruzja - atrakcyjny kierunek wypraw

Ubiegłoroczna „poelbruska” wyprawa do zachodniej Gruzji zaowocowała „zauroczeniem” nią co najmniej kilku jej uczestników, dlatego decyzja o tegorocznym wyjeździe zrodziła się dość szybko. Jedyne u mnie trochę wolniej, ponieważ podjąłem ją dopiero pod koniec kwietnia - *in last minute*. Przygotowując kaukaską wyprawę do Gruzji Wschodniej, w celu omówienia jej szczegółów spotykaliśmy się 18 maja i 9 czerwca. Na lotnisku meldujemy się w sobotę, 29 czerwca 2013 r. o 20<sup>30</sup>. Jest piętnastu uczestników wyprawy. Wśród nich także Agnieszka i Marek B. - limanowianie. Wylot z Okęcia nocnym bezpośrednim samolotem do Tbilisi. Startujemy z niewielkim opóźnieniem i lecimy ok. 3 godziny, ale uwzględniając dwie godziny różnicy czasu, ok. 4<sup>00</sup> rano jesteśmy w stolicy Gruzji. Busem dojeżdżamy do hotelu, położonego niedaleko centrum miasta. Pierwszy gruziński dzień, przeznaczony na zwiedzanie Tbilisi, rozpoczynamy bardzo wcześnie. Po śniadaniu wyruszamy „w miasto” główną Aleją Szoty Rustawego. Zwiedzamy stare miasto i jego cerkwie, z fortecznego wzgórza, twierdzy Narikala, podziwiamy panoramę

miasta z nowoczesną architekturą śródmieścia i odpoczywamy w Ogrodzie Botanicznym. Następnie posiłek w pobliżu tbiliskich siarkowych łaźni i wracamy do hotelu. Po krótkiej naradzie - odpoczynek. Dla wytrwałych wieczorny spacer po mieście i kolacja. Nie jestem Robertem Makłowiczem, ale warto wspomnieć o kuchni gruzińskiej, w której jako przekąska króluje *chaczapuri* - gruziński zapiekany placek z serem, a w daniach głównych *chinkali* - gruzińskie pierogi z mięsnym farszem, posiadające swój oryginalny kształt (podawane na gorąco zawierają wewnątrz aromatyczny rosół). Myśląc o deserze, należy pamiętać o *czurczchela*, która przypomina długie sople z nawleczonych na nitkę orzechów laskowych, zatopionych w masie z gęstego soku z winogron. Nie da się zapomnieć o winach, np. *Kindzmarauli*, *Pirosmani* lub *Saperavi*.

Nasz wyjazd ma charakter samochodowo-trekkingowy. Przejazdy mają odbywać się terenowymi Ładami Niva 4x4. Wieczorem odbieramy cztery samochody, a już następnego dnia, po wczesnym śniadaniu wyjeżdżamy z Tbilisi w kierunku południowo-wschodnim do Kachetii - regionu, z którego pochodzi 70% krajowej uprawy winorośli. Naszą załogę stanowią: Ewa, Jacek w roli doświadczonego kierowcy, Jurek K. - sprawdzony druh w licznych

*... Tam, gdzie szum wielkich miast, tam, gdzie pośpiech i zgiełk,  
Znów wracamy, innego wyboru nie mając.  
Choć do miast powracamy, jak statki na brzeg,  
Nasze serca na zawsze już w górach zostają...*

Włodzimierz Wysocki<sup>2</sup>

wspólnych wyprawach i ja. Dopiero po przejechaniu dziesiątków kilometrów okazało się, że pani dr Ewa - nasz „pilot”, również ma limanowskie korzenie, jej dziadkowie pochodzili z Pisarzowej. Pierwszym celem jest zespół monasterów David Gardża typu „skalne miasto”, zabytek z listy UNESCO, położony na granicy z Azerbejdżanem. Po kilkugodzinnym zwiedzaniu mnisich cel i świątyń, wykutych w skale, wyjeżdżamy w kierunku północnym do XVIII-wiecznego, odrestaurowanego miasta Signagi. Fakt, że udało nam się pobłądzić na asfaltowych drogach, jest zapowiedzią ciekawych przygód w interiorze. Na nocleg w hoteliku pośrodku winnicy, w okolicy stolicy Kachetii - Telawi, zjawiamy się dość późno.

Wtorek zostaje poświęcony na zwiedzanie najważniejszych i najstarszych zabytków Kachetii. Do katedry w Alawerdi (XI w.), jednej z najpiękniejszych w całym regionie Kaukazu, niełatwo jest wejść. Wiadomo, że ramiona i głowy pań muszą być okryte, ale zakaz obejmuje także posiadaczy krótkich spodni. Trzeba wrócić do hotelu po długie spodnie lub „wypożyczyć” je na czas zwiedzania katedry od kolegi. Zatrzymujemy się też na krótko w samym mieście Telawi i zwiedziliśmy malowniczy XV-wieczny zamek w Gremi.



# DRUGI

Długo by pisać o zabytkach wschodniej Gruzji. Dzięki bezpośrednim połączeniom lotniczym Gruzja stała się „z dnia na dzień” atrakcyjnym i popularnym kierunkiem podróży. Zwłaszcza dla młodych podróżników - backpackerów. Ponieważ naszym celem są góry, więc w tym miejscu mogę jedynie polecić lekturę nowego przewodnika „*Gruzja w pigułce*”<sup>3</sup> lub nieco starszego „*Gruzja i Armenia oraz Azerbejdżan*”<sup>4</sup>.

## Trekking

### Szatili - Omalo

Po powrocie do „naszej” winnicy rozpoczęły się przygotowania do trekkingu (ubiór, bagaże, namioty...). W piątym dniu wyprawy cała ekipa, tworząca cztery załogi w samochodach Łada, podzieliła się na dwie części. Plan jest taki: celem siedmioosobowej grupy, którą kieruje Jurek W., jest dojechanie do słynnej Gruzińskiej Drogi Wojennej, a następnie od zapory Zhinvali przejazd dwoma samochodami górską drogą do Szatili. Druga część ekipy, którą kieruje Leszek, powinna dojechać do Omalo. Po jednodniowej „aklimatyzacji” w Kaukazie planujemy pozostawić auta, wynająć „do pomocy” (bagaż) konie i szlakiem Szatili - Omalo, przechodząc kilkadziesiąt kilometrów, przez przełęcz Atsunta Pass (3431 m n.p.m.) dojść do Omalo, wymieniając się po drodze kluczykami do samochodów. Plan prosty. A realizacja?

Do przejechania „tylko” ok. 200 km. Ale ponieważ do Szatili jest znacznie dalej niż do Omalo, więc wyjeżdżamy trochę wcześniej. Po przejechaniu krótkiego odcinka asfaltowej drogi rozpoczyna się „szutrówka”. Na mapie jest oznaczona na żółto jako droga o znaczeniu regionalnym. Mamy więc przedsmak gruzińskiego interioru. W mijanym miasteczku Tianeti robimy zakupy żywnościowe na kilkudniowy pobyt w górach, a po dojechaniu do Gruzińskiej Drogi Wojennej tankujemy benzynę „pod korek”. Dalej już tylko górską drogą prowadzi nas na północ. Po

## PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE

czątkowo malownicza - nad zbiornikiem Zhinvali, potem jeszcze bardziej malownicza - w górach wysokich. Ale, niestety, zaczyna padać deszcz. Droga przestaje „kurzyć”, ale staje się śliska. Górskie potoki wzbierają wodę. W niektórych miejscach woda jest rwąca. W pewnym momencie droga pnie się w górę i na wysokości 2676 m n.p.m. dojeżdżamy do przełęczy Datwis-Dżwari. Pojawiają się pierwsze ważne gruzińskie zabytki - średnio-wieczne wieże i baszty. Widoki coraz bardziej interesujące, ale pogoda się pogarsza. Do XII-wiecznej wioski-twierdzy Szatili docieramy ok. godziny 17<sup>00</sup>. Tutaj szybko „schodzimy na ziemię”. Po pierwsze, w wiosce nie ma koni do wynajęcia. Bezskutecznie rozpytujemy o tragarzy. Pada deszcz. Na dodatek (a jak się później okaże - na szczęście) nie mamy kontaktu z drugą grupą. Zatrzymujemy się w jednym z dwóch hotelików (zbudowanym z kamieni ułożonych bez zaprawy murarskiej), gdzie zaoferowano nam także kolację. Rozwiązanie problemów logistycznych zdecydowanie zostawiamy na następny dzień, ponieważ gospodarz, podkreślając estymę, z jaką traktuje gości z Polski, przynosi w plastikowej butelce winiak - *czczę* miejscowej produkcji, twierdząc, że dobre wino na tych wysokościach już się nie udaje. Może od rana zacznie świecić słońce.

Kolejny dzień ma charakter odpoczynkowo-relaksowo-aklimatyzacyjny, więc wstajemy niespiesznie. Niektórych do większej aktywności zmusza głód. O godzinie 9<sup>00</sup> wyruszamy na trekking do wioski Mutso. Droga łatwa i wygodna, w bardzo zielonym terenie. Pogoda też nie najgorsza, trochę słońca, przeplatane słabym deszczem. Idziemy czerwonym szlakiem wzdłuż potoku Argun, później jego dopływu, Andaki. Praktycznie cała siedmioosobowa grupa trzyma się razem. Z poziomu ok. 1700 m n.p.m. wznosimy się powoli. W pewnym momencie zbliża się do nas karawana złożona z sześciu koni. Pewnie jedyna szansa dla nas. Negocjacje przebiegają krótko i pomyślnie: trzy konie z dżygitami, na trzy dni, za 400 gruzińskich lari. Po około dwóch godzinach wędrówki roz-

dzielamy się. Nasi kierowcy: Jacek i Marek, wracają po auta, a my idziemy dalej - w trochę lepszych nastrojach. Ok. 13<sup>00</sup> dochodzimy do posterunku wojskowego w Mutso. Po pierwszym zamiarze pójścia dalej postanawiamy jednak poczekać na samochody. Korzystając z „wolnego czasu”, razem z Agnieszką idę na szczyt skalnej warowni, zbudowanej w Mutso na wysokości do 1900 m n.p.m. W międzyczasie jedna załoga pojechała z Jackiem do hotelu, a my z Markiem pojechaliśmy jeszcze do sąsiedniej wioski - w głąb kaukaskiej doliny. Koniec przejezdnej (z uwagi na śliskość) drogi nad potokiem i wśród malowniczych szczytów zmusił nas do powrotu. Plan na dzień następny był już jasny: wyruszamy na trekking. Pora więc na kolejne przepakowywanie bagażu: dla nas i dla koni.

W piątek, 5 lipca pobudka o godz. 6<sup>00</sup>. Gwieździste niebo nocą wróżyło słoneczną pogodę i taka rano była. Śniadanie o siódmej, a już o 7<sup>30</sup> opuszczamy Szatili i wyruszamy na trekking w najpiękniejszych i najbardziej dziewiczych regionach Gruzji. Wyjeżdżamy w przeświadczeniu, że wszystko idzie zgodnie z planem. Mamy piękną słoneczną pogodę, zapas czasu na załatwienie formalności z pogranicznikami. Zwłaszcza że udało się uruchomić silnik Łady kierowanej przez Jacka. Dzień wcześniej, podczas zjazdu do Szatili, trzeba było zdejmować buty i wypychać auto z dużej kałuży, bo silnik nie chciał zapalić. Tymczasem, tuż przed przekroczeniem niewielkiego brodu w Mutso, postój. W aucie kierowanym przez Marka urwało się przednie lewe koło. Nie-szczęście? Raczej szczęście w nieszczęściu. Pomimo ostrożnej jazdy wąską kamienistą drogą, pod górę, auto przesunęło się kilka metrów w lewo - od strony stoku! Powoli samochody wysuwają się na plan pierwszy naszej wyprawy. Rada w radę, auto zostaje rozładowane i zepchnięte bardziej na bok, bo w górskich warunkach trudno mówić o poboczu. Szczęściem, tuż obok jedyne go w okolicy siedliska stoi pojazd, nazywany przez Jurka W. „Kosyginem”. Jego właściciel godzi się za niewielką opłatą zawieźć bagaż i trzy osoby do wioski Khonichala, skąd mamy wyruszyć na wędrówkę. ▶

Cztery załogi terenowe w drodze do skalnego kompleksu Dawid Garedża, na granicy gruzińsko-azerskiej. Fot. Anna Olesiewicz.



► Sprawną Ładą podjeżdżamy do punktu granicznego (chodzi o zgodę na poruszanie się w strefie przygranicznej z Czeczenią) i załatwiamy sprawy rejestracyjne. Przy okazji dowiadujemy się, jakim szacunkiem cieszy się w Gruzji śp. Prezydent Lech Kaczyński, który wsparł Gruzinów podczas konfliktu z Rosjanami. Dlatego zgodzono się „po linii wojskowej” przekazać informację do firmy, która wypożyczyła nam auta, że jedno z nich, z urwanym kołem, zostało w Mutso. Gdy siedmioosobowa grupa dociera w końcu szczęśliwie do Khonichala, następuje załadowanie części naszego ekwipunku na trzy konie i karawana rusza w drogę. Naszym celem jest dotarcie do punktu biwakowego przed przełęczą. Po bardzo krótkim i płaskim podejściu wzdłuż potoku zaczynamy się wspinać. Podejście jest dość strome, ale na szczęście nie pada deszcz. Ponieważ podłoże jest gliniaste, bogate w substancje organiczne, dlatego w wilgotnych miejscach na ścieżce robi się błoto. Gdyby padał deszcz, podejście byłoby mozolne. Słońce nie jest uciążliwe, ponieważ jesteśmy chronieni przez liście drzew. Po wyjściu na wypłaszczone ścieżkę postanawiamy odpocząć. Posilanie się kończymy jednak szybko, bo zaczyna padać Teraz wędrówka czerwonym szlakiem, po wąskiej błotnistej ścieżce, wśród traw, jest męcząca, ale okolica malownicza. Na szczęście deszcz nie jest ciągły. Można podziwiać piękną roślinność, kwitnące łąki (m.in. łąny żółtych pierwiosnków), w tym także całe zbocza pokryte różanecznikami kaukaskimi (*Rhododendron caucasicum* Pall.) o pięknych białych kwiatach i różowych pączkach. Warto dodać, że w Kaukazie na wysokości ok. 2000 m n.p.m w pierwszej połowie lipca jest wiosna. Widoki w Wielkim Kaukazie są wspaniałe. Na szlaku spotykamy nielicznych (w sumie chyba pięciu) wędrowców. Góry są ogromne i puste. Na miejsce zaplanowanego biwaku dochodzimy ok. 16<sup>00</sup>. Trochę zmęczeni, ale w dobrej formie. Rozbijamy namioty i... zaczyna padać. Po długiej wędrówce, mimo że dzień jest też długi, trochę odpoczywamy. Zwłaszcza, że przerwy w deszczu są coraz krótsze, a od wschodu widać krawędź przełęczy, którą chcemy pokonać.

Następnego ranka budzimy się wcześnie, gdy obóz jest jeszcze w cieniu przełęczy. Wspinaczkę po dość stromym kaukaskim grzbiecie rozpoczynamy przed dziewiątą, by po około dwóch godzinach

pojawić się na przełęczy Atsunta. Odpoczynek, posilanie się, podziwianie widoków, robienie zdjęć i „wypatrywanie” grupy Leszka zajmuje nam pół godziny. Współtowarzyszy wyprawy spotykamy dopiero nad rzeką Kvakhidistskali, po pokonaniu dość długiego, stromego zbocza góry. Jest cała ósemka, mają też konie, czeka ich przeprawa przez przełęcz. Na drodze do Omalo „porzucili” jedną zepsutą Ładę. W samochodach jest remis - 1:1. Nas czeka jeszcze dość długi, ale bardzo płaski odcinek trekkingu. Po drodze przekraczamy dwa brody, które wymagają zdjęcia butów. Pogoda jest wyśmienita: nie pada, ale słońce też nie jest ostre. Na miejsce drugiego biwaku docieramy ok. godz. 16<sup>00</sup>. Przed zmierzchem odwiedzają nas trzech gruzińscy strażnicy graniczni, jednak najbliższymi szczytami biegnie granica z Czeczenią. Z pomocą Jacka Daniela udaje się dość szybko załatwić formalności, a nawet dojść do wniosku, że historyczne przysłowie „*Polak, Węgier, dwa bratanki...*” dotyczy także Gruzinów. Dość późno kładziemy się spać z przeświadczeniem, że w następnych dniach czekają nas nowe przygody, bo na piętnaście osób mamy tylko dwa sprawne auta.

W nocy z soboty na niedzielę trochę pada, ale kolejny dzień długiej wędrówki zapowiada się dobrze. Idziemy praktycznie cały czas wzdłuż rzeki Pirikita Alazani, czyli praktycznie w dół. Niewielkie podejścia wynikają z faktu, że niektórych odcinków nie można przejść korytem rzeki. Mijamy także dopływające potoki, które pokonujemy w bród. Niżej pojawiają się pojedyncze kładki. Podziwiamy już nie tylko monumentalne ośnieżone szczyty, górskie widoki uzupełniają także ruiny dawnych kamiennych wież i architektura średniowiecznych osad. Tempo wędrówki jest dość dobre, ale po wypatrzeniu pierwszego kolorowego „parasola” udaje się jeszcze przyspieszyć. W tym miejscu trzeba dodać, że Gruzini wykazują spory potencjał w rozwoju przedsiębiorczości, nawet w tak trudnym terenie. Delektowanie się zimnym piwem zajęło nam godzinę. Około 15<sup>00</sup> ruszamy w dalszą drogę, nie odmeldowując się na kolejnym posterunku wojskowym. Po niecałych dwóch godzinach docieramy do pierwszej w Tuszetii wioski, Chesho, którą zamierzaliśmy minąć w drodze do niżej położonej miejscowości Dartlo. Okazało się jednak, że w tej wiosce Leszek pozostawił sprawne auto, więc i koniuszy tutaj „porzucili” nasz

ekwipunek. W tej sytuacji Jacek z Jurkiem W., Ewą i Agnieszką oraz z częścią bagażu jadą do Omalo - „stolicy” Tuszetii, krainy u podnóża Wysokiego Kaukazu. Natomiast Jurek K., Marek B. i ja pozostajemy w miejscowym hoteliku „*Village Ekaterine*” z zamiarem czekania na powrót Jacka. Czekanie przedłuża się do kilku godzin, ale właścicielka hoteliku nie daje się długo prosić, aby nas trochę posilić. O 20<sup>00</sup>, gdy już zamierzamy negocjować cenę noclegu, podjeżdżają dwa auta: Niva i Honda. Okazuje się, że firma *rent a car* z Tbilisi wysłała ekipę, która naprawiła auto (awaria termostatu, przegrzany silnik) i podstawiała go do Chesho, kierując się m.in. informacjami od strażnika (rangera) Parku Narodowego Tuszetii. Trzeba pamiętać, że jest niedziela. W górach byliśmy poza zasięgiem telefonii komórkowej. Sytuacja nieprawdopodobnie zaskakująca! Przedstawiciel firmy z Tbilisi zapytał tylko, gdzie zamierzamy jechać tym samochodem. Na wiadomość, że do Stepancmindy, pod Kazbekiem w północno-wschodniej Gruzji, stwierdził:

- *Musicie bardzo kochać góry.*

W krótkim czasie pojawia się jeszcze Toyota Land Cruiser z kierowcą, którego Jacek wynajął, aby nas „zwiózł” do odległego o 25 km Omalo. Sam był zbyt zmęczony, aby nocą jechać tą górską drogą. Warto dodać, że drogi, po których poruszamy się, są przez ok. 7-8 miesięcy zamknięte z uwagi na zalegające śniegi. W Dartlo, Chesho i wyżej położonych osadach na zimę pozostają pojedyncze osoby, a w Omalo „zimuje” 7 rodzin. Pozostali mieszkańcy wyjeżdżają do niżej położonych miejscowości. Kwaterujemy się w pensjonacie Nino, gdzie po dniu pełnym wrażeń i po ciepłej kolacji idziemy spać.

## **Kazbek (po raz pierwszy?)**

Majestatyczna góra Kazbek - drugi cel naszej wyprawy, to dla Gruzinów *Mkinwarcweri*, czyli Zamarznięty Szczyt. Niektórzy uważają go za najwyższy szczyt Gruzji (inni widzą w tej roli trzeci co do wysokości szczyt Kaukazu, mierzący 5058 m n.p.m. górę Szchara). Aby dostać się w rejon tego drzemającego wulkanu, musimy zjechać na niziny i znowu dojechać do zapory Zhinvali. Odcinek drogi górskiej, liczący ponad 72 km, składa się praktycznie z podjazdu na liczącą 2926 m n.p.m. przełęcz Abano i ze zjazdu z prze-



łączy do Pszaweli. Jest to fascynująca górską drogą, jedna z najtrudniejszych dróg typu *off road*, zaliczona do 8 najbardziej krętych dróg świata (<http://www.travelin.pl/top/8-najbardziej-krętych-drog-swiate/droga-przez-przelec-abano-gruzja>). Cały czas towarzyszą nam wysokie skaliste zbocza nad drogą i ponadstumetrowe przepaście pod nią. Od czasu do czasu przystajemy, aby ochłodzić silniki i zrobić kilka fotografii. Na 43. kilometrze, w domu pracownika nadzorującego stan drogi, odbieramy 4 duże ładunki z naszymi bagażami „na Kazbek”, pozostawione przez Leszka po awarii samochodu, które nie wytrzymało trudu pokonania przełęczy. Na nizinach do kierownicy udaje się „dobić” Ewie, co przy zamiłowaniu Jacka do kierowania autem nie jest łatwe. Po wjechaniu na Gruzińską Drogę Wojenną tankujemy paliwo i w końcu przyspieszamy, ale tylko do miejsca, gdzie kończy się asfaltowa nawierzchnia. Licząca 208 km międzynarodowa droga z gruzińskiego Tbilisi do rosyjskiego Władykaukazu w Osetii Północnej okazuje się znowu drogą gruntową, a momentami placem budowy. Dodatkowo zaczyna padać deszcz. I tak dobrze, że nie podczas jazdy górską drogą z Omalo. Mijamy Gudaury, jeden z największych ośrodków narciarskich w Gruzji. Do położonego na wysokości 1750 m n.p.m. miasteczka Stepancinda (do niedawna: Kazbegi) przyjeżdżamy wprost na kolację i spotkamy się z drugą częścią grupy. Radości i dyskusjom z powodu szczęśliwego, żeby nie powiedzieć, „cudownego” zakończenia trekkingu nie było końca. Okazało się, że ekipa Leszka również miała wiele szczęścia. Ich, tzn. wcześniej nasze auto też zostało naprawione (zerwany sworzeń, pęknięta półośka).

Wtorek jest dniem przeznaczonym na odpoczynek po trudach trekkingu i podróży. Stepancinda to turystyczne centrum Gruzji, dlatego idziemy na spacer po miasteczku, w którym urząd pocztowy może pretendować do jednej z większych atrakcji. Wejść można bez biletu, ale nie wypada fotografować urzędniczki, która urzęduje przy „kozio”. Kupuję jedynie oryginalne pocztówki, wydane przez Gruzińską Socjalistyczną Republikę Radziecką, która w 1991 roku (!) odzyskała niepodległość jako Gruzja. Po południu niewielki wypad na północ, aby obejrzeć wodospady, ponieważ część uczestników wyprawy przewiduje na zwiedzanie okolic Kazbegi jeszcze trzy dni, ale pozostali

pakuja sprzęt i ubrania na wyprawę na Kazbek. Internet jest wszędzie. Dociera do nas informacja o kolejnym wypadku w górach. Artur Hajzer, legenda polskiego himalaizmu, zginął 7 lipca na Gaszerbrumie I w Pakistanie. Biejący rok nie jest dobry dla „górolazów”. Pamiętając, że z uwagi na znaczne nachylenie stoków, dochodzące nawet do 60 stopni, Kazbek jest górą znacznie trudniejszą niż popularny Elbrus, kolejne dwie osoby z naszej ekipy postanawiają zwiedzać okolice Stepancindy.

W dwunastym dniu wyprawy, w ośmioosobowym składzie wyruszamy na szlak w kierunku „meteostacji” - bazy noclegowej pod Kazbekiem. Do XIV-wiecznego klasztoru Cinda Sameba, głównej atrakcji turystycznej w okolicy, dojeżdżamy dwoma samochodami. Kościół jest położony na wzgórzu Gergeti, na wysokości ok. 2200 m n.p.m. Tutaj konie mechaniczne zamieniamy na dwa żywe konie, które poniosą część naszych bagaży do lodowca. Sami wyruszamy na kolejną piękną wędrowkę po gruzińskim Wielkim Kaukazie. Roślin wysokich tutaj niewiele. Początkowo wędrujemy głównie po wydeptanych w trawie ścieżkach. Widoki rozległe, cisza. Wędrowców jest niewielu. Spotkanym można mówić „dzień dobry”, bo w dominującej większości to Polacy. Gdyby nagle stąd wyjechali, zrobiłoby się autentycznie pusto. Po drodze mijamy biały krzyż, przy którym niektórzy turyści wysokogórscy zawracają do doliny. Dalsza droga staje się już trudniejsza: po kamienistym podłożu, przez rwące potoki, bardziej stroma. Dochodzimy do czoła lodowca Ordzweri (Gergeti), przez który trzeba przejść, aby dotrzeć do schroniska. Na lodowcu jeszcze nie używamy lin i raków, ponieważ jest on dość dobrze rozpoznany przez wędrowców, niezbyt stromy i pozbawiony warstwy śniegu. Gdy stajemy przed ogromnym ponurym gmaszyskiem byłej radzieckiej stacji meteorologicznej, która obecnie pełni funkcję schroniska o nazwie „*Bethlemi Hut*” (proszę nie wyobrażać sobie tatrzańskiej drewnianej chaty), jesteśmy na wysokości 3653 m n.p.m. Jesteśmy mokrzy - bo pada, spoceni i trochę zmęczeni oraz zmarznięci - bo zimno. Wchodzimy więc na chwilę do jednego z pomieszczeń, w którym „załoga placówki” gotuje wodę. Gorąca herbata i trochę *czaczy* pozwalają krwi krążyć szybciej. Bierzymy się za postawienie trzech namiotów. Penetracja bazy koncentruje się na rozległych wido-

kach w dół - na lodowiec, i w górę - na ośnieżony szczyt Kazbeku. Obok schroniska stoi niewielki obelisk, poświęcony Marii i Lechowi Kaczyńskim, postawiony w 2012 roku przez członków Solidarności. Oczywiście, polskich akcentów w Gruzji jest więcej - projekt wyznaczania szlaków turystycznych w Kaukazie był w 2012 r. współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Wraz z zapadającym zmierzchem zapadają też decyzje, kto wyrusza w nocy na atak szczytowy, a kto zostaje w namiotach. Wynik: sześć do dwóch. Noc, jak na warunki wysokogórskie, bardzo spokojna, bez wiatru i deszczu. Nastroje też dobre.

W czwartek, 11 lipca, o trzeciej w nocy wychodzimy z obozu. Ja jestem ostatni. Jest ciemno, więc bez czołówki ani rusz, ponieważ droga, a w zasadzie bezdroże, pełne jest dużych kamieni i skał. Początkowy odcinek trasy zwykle pokonuje się szybko, bo zimno, bo wszyscy są pełni sił, bo ... nic nie widać. Świt zastaje nas praktycznie na czole lodowca. Teraz już niezbędne jest pełne uzbrojenie: uprząże, liny i raki. Ewa postanawia pozostać w rozbitym nieopodal (przez Polaków, oczywiście) namiocie. A więc w pięcioosobowym „tramwaju” (do którego dołącza jeszcze dwójka innych Polaków z Łodzi) ruszamy do ataku szczytowego. Droga coraz trudniejsza. Trzeba torować ją w kopnym śniegu. Znaczne nachylenie lodowca powoduje, że musimy być bardzo ostrożni. Idziemy we mgle, w której nie widać wszystkich wspinaczy, uwiązanych do jednej liny. Około siódmej rano, na hasło „stój”, robimy niewielki odpoczynek. Mija nas kilkusobowa ekipa schodząca ze szczytu (?!). Okazuje się, że nie widząc możliwości wejścia na szczyt, zawracają. My idziemy dalej, ale... zaczynamy sobie przypominać, że oprócz zdobycia szczytu pięcioletniaczka mamy też jeszcze kilka innych celów. Spoglądając za siebie, słyszę Marka Ł.: „*mam jeszcze parę ważnych spraw do skończenia*”. W rejonie przełęczy pod szczytem Kazbeku, za którą jest już Rosja, na krótką chwilę odśladania się niebo. Tak krótką, że o zrobieniu jakiegokolwiek sensownego zdjęcia nie ma mowy. Ujrzelśmy ścianę zachodniego stoku szczytu. Zobaczyliśmy też, gdzie jesteśmy: na stromym zboczu ośnieżonego lodowca.

(ciąg dalszy na stronie 34)





Fot. 1

## WIELKI KAUKAZ PO RAZ DRUGI

(dokończenie ze strony 25)

Okolo 8<sup>00</sup> razem z Markiem B. dochodzimy do wniosku: decyzja nie jest łatwa, ale wciąż należy do nas - zawracamy. Wspaniała góra Kazbek (5047 m n.p.m.) pozostaje niezdobyta. Przy niesprzyjającej pogodzie, aklimatyzacja zdobyta podczas trekkingu Szatili - Omalo nie wystarczyła do wejścia na szczyt. Następnie wszystko toczy się już szybko. Wciąż jeszcze silni, zaczynamy schodzić. Niebawem spotykamy grupę, którą mineliśmy wcześniej. Widząc nas zdecydowanych na kontynuowanie wspinaczki, postanowili czekać na poprawę pogody. Teraz także decydują o odwrocie. Po pokonaniu lodowca dołącza do nas Ewa i wędrujemy do bazy. Po krótkim odpoczynku zapada decyzja - schodzimy do Stepancmindy. Po długiej wędrówce przez lodowiec i wzdłuż doliny potoku Chkheri oraz przez mniejsze wzniesienia dochodzimy do wzgórza, na którym stoi majestatyczny klasztor Cminda Sameba. Samochody czekają tam, gdzie je pozostawiliśmy. Po zwiedzeniu świątyni - symbolu Gruzji jedziemy do hotelu.

Przez oczekującą na nas część ekipy zostajemy powitani entuzjastycznie. Oczywiście, nie jako zdobywcy Kazbeku, ale dający szansę na wyruszenie na niziny o jeden dzień wcześniej. Dalszy plan wyprawy, na piątek i sobotę, jest już gotowy: trzeba ten jeden „odzyskany” dzień wykorzystać na zobaczenie miasta Gori, w którym duch J. Stalina jest wiecznie żywy, a poświęcone mu muzeum jest najokazalszą budowlą w mieście. Wracamy Gruzjińską Drogą Wojenną, zatrzymując się przy położonej nad rzeką Aragwi, pochodząca z przełomu XVI i XVII wieku, twierdzą Ananuri. Zaledwie 10 km na wschód od miasta Gori zwiedzamy najstarsze miasto skalne w Gruzji: Upliscyche - czyli „Pańską Twierdzę”. W drodze do Tbilisi zatrzymujemy się także w Mccheta i zwiedzamy jedno z najstarszych miast Gruzji, starożytną stolicę (od III w. p.n.e. do V w. n.e.), z jej najważniejszymi zabytkami budownictwa sakralnego.

W niedzielny poranek, 14 lipca, wracamy do Polski, uszczęśliwieni wędrówką po Wielkim Kaukazie i zwiedzaniem wspaniałych, choć często zniszczonych zabytków wielowiekowej kultury oraz ze świadomością, że nie pokonaliśmy Kazbeku, ale i on nas nie pokonał. Gdy kończę artykuł, trwa dramatyczna akcja ratownicza i poszukiwawcza trójki Polaków, zdobywców Kazbeku, którzy prawdopodobnie 22 września na wysokości ponad 4 tys. metrów stracili orientację. Góra zabrała kolejne ofiary.

**Andrzej KULIG**

**Fotografie ze zbioru A. Kuliga  
wrzesień 2013 r.**



Fot. 2

<sup>1</sup> Kulig A. (2013): Upalne lato w śniegu i lodzie.... „EL” Nr 220-221. Rok XXI styczeń-luty, s. 30-43.

<sup>2</sup> Wysocki W. (1966): Pożegnanie z górami. Tekst piosenki. Tłumaczenie, Zimna M. 1994.

<sup>3</sup> Petryszak G. (2013): Gruzja w pigułce. Przewodnik. Wyd. 1. Oficyna Wydawnicza Revasz. Pruszków.

<sup>4</sup> Kamiński K., Iskrzycka K., Stefaniuk P. (2009): Gruzja i Armenia oraz Azerbejdżan. Magiczne Zakaukazie. Przewodnik Wydawnictwa Bezdroża. Wyd. III. Kraków.





Fot. 3



Fot. 4



Fot. 5



Fot. 7



Fot. 6

#### Opis fotografii:

Fot. 1. Przez ogromny zielony Kaukaz do Szatili.

Fot. 2. Spektakularnie położone „orle gniazdo” – kamienna warownia w Mutco.

Fot. 3. „Pańska Twierdza” - jedna z najstarszych osad miejskich w Gruzji z cerkwią w części górnej.

Fot. 4. Niekiedy udawało się pokonać polodowcowy potok suchą stopą.

Fot. 5. Na lodowcu Gergeti – w drodze do bazy pod Kazbekiem.

Fot. 6. Górskie zbocza pokryte kwitnącymi różanecznikami kaukaskimi – przed przełęczą Atsunta.

Fot. 7. Wędrowcy gotowi do trekkingu Szatili - Omalo. Od lewej: Ewa, Jacek, Jurek K. i Jurek W., Agnieszka i Marek B. oraz autor.